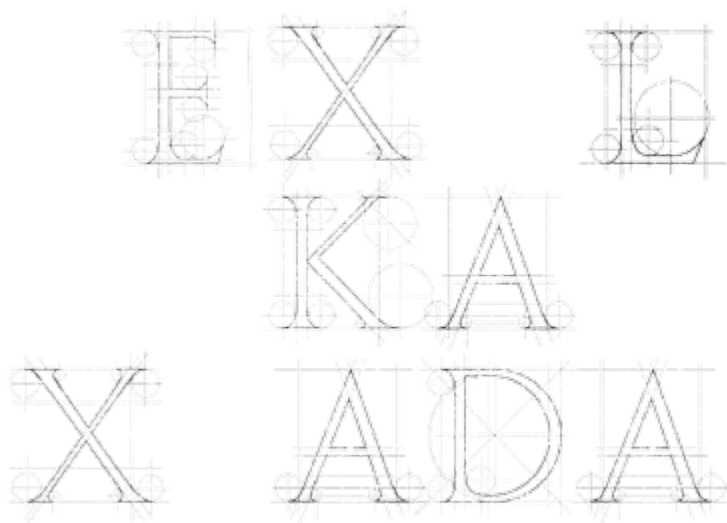


ARKADIUSZ NIEMIRSKI

POJEDYNEK DETEKTYWÓW



Wydawnictwo Skrzat
Kraków

*Najpiękniejszym uczuciem, jakie możemy przeżyć,
jest odczucie tajemnicy. To ono jest źródłem autentycznej sztuki,
prawdziwej nauki. Ten, kto nigdy nie odczuł tej emocji,
kto tego nigdy nie spróbował, jest jak umarły.
Jego oczy są zamknięte.*

Albert Einstein

1

Demiurg czekał na mnie w czarnej limuzynie przy głównej szosie pod lasem niedaleko Magdalenki. Podobno tym razem nie chodziło o mojego brata Marka.

Uwierzyłem mu.

– Czy pan wie, panie Arturze – odezwał się cicho po chwili, siedzący na tylnym siedzeniu auta, szef agencji detektywistycznej CIOŚ – gdzie leży Oporów?

– Oporów? – Uniosłem wysoko brwi i odgarnąłem ręką zawiesziste kłęby dymu z cygara, którym raczył się apodyktyczny Demiurg. – To gdzieś blisko Łodzi?

– Z geografii nieźle – uśmiechnął się zdawkowo, ale zaraz jego okrągła i różowa twarz sposepniała. – Ciekawe, czy równie dobry jest pan z historii.

– Uczę matmy.

– W Oporowie koło Kutna znajduje się pewien gotycki zamek – mówił dalej Demiurg, nie zważając na moją uwagę. – Bardzo dobrze zachowany. Teraz mieści się tam Muzeum Wnętrz Stylowych. Proszę.

Rozsypał na moje kolana jakieś duże fotografie przedstawiające okazały i zbudowany z czerwonej, ciężkiej cegły zamek otoczony fosą. Inne zdjęcia ukazywały ową twierdzę z pewnej perspektywy, która uwzględniała istnienie dookoła niego imponującego parku.

– Piękny zabytek – westchnąłem i spojrzałem w gadzie oczy Demiurga. – Ale w czym mogę pomóc?

Mężczyzna wypuścił kolejną chmurę cygarowego dymu i wyjął zza pazuchy mniejsze zdjęcie zrobione innym aparatem. Fotka przedstawiała jakąś tabliczkę pokrytą prawie równomiernie, jak się zdawało, hieroglifami. Jednakże, gdy lepiej się im przyjrzałem, stwierdziłem, że były to zwykłe litery i kilka znaków.

– To zapewne jakiś szyfr, panie Arturze – powiedział Demiurg. – Nie tak dawno archeolodzy wygrzebali z ziemi oporowskiej trumnę ze szkieletem jakiegoś ważnego biskupa. Nazywał się Władysław Oporowski. Przy nim znaleziono tę tabliczkę. Aha, to żelastwo pochodzi najprawdopodobniej z XVII wieku, a ten Oporowski zmarł w połowie XV wieku. Dziwne, co?

– Interesujecie się archeologią? – zdziwiłem się, odpowiedziawszy mu niezbyt grzecznie pytaniem na pytanie.

– Gdzie tam – prychnął. – Ale właściciel zamku, to jest muzeum, razem ze swoim sponsorem zwietrzyli okazję do zdobycia rozgłosu i uczynienia z Oporowa sławnego, historycznego miejsca w Polsce. Wyznaczono nawet nagrodę w wysokości dwudziestu tysięcy euro dla tego, kto znajdzie skarb. Aby nadać sprawie jeszcze większego rozgłosu, zaproszono do Oporowa w charakterze gości różnych zdolnych ludzi, inteligentnych typów, niby-detektywów. Prawdziwe agencje detektywistyczne nie zgodziły się bowiem na udział w tej, ich zdaniem, groteskowej i niepoważnej zabawie. A nasze państwo jest za biedne na przeprowadzenie jakichkolwiek badań tego typu. Zorganizowano zatem coś na wzór pojedynku detektywów. I to nas zainteresowało. Na szczęście przypomniałem sobie o panu i pańskim zamiłowaniu do łamigłówek.

– Nie znam się na historii – zaprotestowałem. – Poza tym mamy październik i...

– Ale pan lubi zagadki i szyfry! Szkoła, w tym wypadku, może poczekać.

– W piątek ma być klasówka z trygonometrii.

– Niech pan da popalić uczniom w czwartek, a na piątek i cały przyszły tydzień weźmie urlop – mówił dalej

niewzruszony szef CIOŚ-u. – Należy się panu. Od dwóch lat nie był pan na wczasach. Ostatnie wakacje pan przepracował.

– Skąd pan o tym wie?

– Nieważne – machnął ręką. – Ale trochę wolnego się panu przyda. Załatwimy to jakoś z dyrektorem. W piątek o dwunastej w południe proszę przyjechać do zamku w Oporowie. Macie ponad tydzień na znalezienie rzekomego skarbu. Wszystko wskazuje na to, że ta tabliczka zawiera zaszyfrowaną wiadomość o miejscu jego ukrycia.

– Macie? – zmarszczyłem czoło. – Czyżbym miał kogoś do pomocy?

– Właśnie. W zamku będzie działać nasz drugi człowiek, ale, pan wybaczy, nie mogę na razie ujawnić jego tożsamości. Najlepiej niech pan o nim zapomni i działa na własną rękę. W odpowiedniej chwili ten ktoś sam się do pana zgłosi.

Demiurg „połknął” solidną porcję dymu i wydmuchnął ją zaraz z płuc. Spoza gęstej chmury o lekko miodowym aromacie zerkały na mnie jego przenikliwie błyszczące oczy, nieco nieruchome, idealna wizytówka niedostępnej i władczej osobowości.

– Niech pan pamięta – dodał cicho, jakby pouczał malca. – Oporów. Zamek. Dwudziestego piątego października. Spotkanie detektywów. Proszę przedstawić się innym uczestnikom jako detektyw-amator, który o całej sprawie dowiedział się

z prasy. I ani słowa o agencji i o tym, że jest pan naszym konsultantem. Rozumie pan? A to dla pana.

Rzucił mi na kolana wycięte z gazety ogłoszenie o pojedynku detektywów, kilka banknotów zaliczki i fotografię oporowskiej tabliczki.

Do późna w nocy studiowałem tajemniczy kwadrat, który, tak na marginesie, nie przypominał żadnego znanego mi kwadratu magicznego, starożytnego abaku, macierzy czy tablicy matematycznej. Złożony był z siedmiu kolumn i siedmiu wierszy, zapisany literami i znakami. Niestety, moje wysiłki nie dawały rezultatu – nie mogłem niczego odczytać. W pewnym momencie naszły mnie poważne wątpliwości. A może przeceniałem swoje matematyczne zdolności i Demiurg ocenił moją przydatność w tej sprawie zbyt optymistycznie?

Zapytacie pewnie, co w ogóle łączyło skromnego nauczyciela matematyki z agencją detektywistyczną?

Zacznę od tego, że mój pradziadek był matematykiem – wykładowcą w przedwojennym gimnazjum. Jego wnuk, a mój ojciec, Konstanty Burski, został sławnym matematykiem. To pewnie dlatego odziedziczyłem po przodkach zamiłowanie do przedmiotów ścisłych, tak samo jak mój młodszy brat. Ba, Marek był nawet zdolniejszy ode mnie i miał ambicje znacznie wyższe niż czerpanie satysfakcji z wkładania do leniwych, młodych głów licealistów podstaw kombinatoryki

czy trygonometrii. Ja z trudem zdobyłem zawód nauczyciela, on zaś miał zadatki na kogoś wyjątkowego, tak jak nasz świętej pamięci ojciec. Marek Burski – młodszy o dwa lata braciшек, na którego wołałem zawsze Smarkacz – wybrał jednak karierę okrytą mgłą domysłów i kilku nagłośnionych przez media afer. Podobno grał na giełdzie i spekulował papierami wartościowymi. Jak głosiła plotka, opracował niezawodny system przewidywania wahań cen giełdowych, na czym zbil fortunę. Z naszą rodziną zerwał definitywnie kilka lat temu. Gdzie mieszkał, nie wiedziałem, ale chodziły słuchy, że w wyjątkowo dużej willi stylizowanej na dworek. Miał najlepsze samochody i świetny gust, jeśli chodziło o kobiety, ubrania i tym podobne zainteresowania. Słuchał namiętnie muzyki rockowej i odwiedzał ekskluzywne dyskoteki. Jak wyraziła się kiedyś złośliwie nasza ciotka, Marek odziedziczył po matce gen nowoczesności. Ja, zdaniem ciotki, dostałem po ojcu gen staroświeckości. Stanowiłem zatem kompletne przeciwieństwo Smarkacza.

Byłem typem raczej przeciętnym. Moja eksnarzeczona mówiła na mnie w chwilach złości: „nudny aż do bólu”. Cóż, może miała rację, zważywszy na moje zamiłowanie do lektury i ciągłe sprawdzanie klasówek wieczorami. Udzielać się towarzysko nie lubiłem i z pewnością nie byłem tak przystojny jak nasza gwiazda – Mareczek. W szkole wołano na mnie Artur Liberales! Brzmiało nieźle, chociaż może zbyt pompa-

tycznie. To sprawka moich uczniów, którzy zastąpili imieniem Artur podobnie brzmiące *artes* z łacińskiego wyrażenia *artes liberales*, co znaczyło przecież „sztuki wyzwolone”. Dlaczego dzieciaki wybrały ten, a nie inny pseudonim? Pewnie dlatego, iż uważałem matematykę za naukę humanistyczną. Moim zdaniem wzory matematyczne miały elegancję i duszę, a piękna bywało w nich więcej niż w niejednym targającym uczuciami wierszu szalonego poety. Wzorem *artes liberales* pragnąłem widzieć matematykę złączoną w jednym uścisku z gramatyką, astronomią, a nawet z muzyką. Jeden z filozofów, Leibniz, twierdził nawet, że matematyka jest językiem Boga. Miał chyba rację. Kiedy słucha się fugi Bacha, ma się wrażenie, że to dźwięczy cudownie skrojone równanie matematyczne! I w dodatku przyjemne dla ucha.

Wracając do mojej skromnej osoby, to mieszkałem w bloku przy ulicy Żwirki i Wigury niedaleko lotniska na Okęciu, żyłem ze skromnej pensji nauczyciela w warszawskim liceum, a zainteresowanie mną agencji CIOS zawdzięczałem mojemu bratu Markowi. Agencja CIOS (której nazwę rozszyfrowałem jako skrót od słów: cicho, inteligentnie, ostrożnie i sprytnie) zwróciła się kiedyś do mnie z prośbą o pomoc w toczonym przeciwko bratu śledztwie. Pomocy – rzecz jasna – nie udzieliłem. Obowiązek obywatelski obowiązkiem, ale nie mogłem przecież wsypać rodzzonego brata. Poza tym ja naprawdę nic o działalności Marka nie wiedziałem. Potem,

zdaje się, że po roku, znowu poproszono mnie o taką pomoc. I tym razem odmówiłem. Odmówiłbym i teraz, gdyby nie to, że Demiurg miał do mnie całkiem inną sprawę. „Łamigłówek” – jak się wyraził. Poza tym ani słowem nie wspomniał o Marku.

Tylko skąd wiedział, że uwielbiam rozwiązywać łamigłówek? Demiurg znał dużo faktów z mojego życia, na przykład ten, że wakacje przepracowałem na obozie młodzieżowym. Nie wspomniał jednak nic o tym, że z kilkoma uczniami udało mi się w ogrodzie jednego z dworców w Wielkopolsce odnaleźć zakopaną w ziemi hrabiowską zastawę. Kluczem do odnalezienia prawie trzystu sztuk talerzy, półmisków, sosjerek, filiżanek i kielichów z białego i zielonego szkła był zapisany w pamiętniku hrabiego szyfr.

Ale czy to możliwe, aby Demiurg o tym nie wiedział?

* * *

Ku oburzeniu uczniów klasówkę z trygonometrii zrobiłem w czwartek, ale gdy oświadczyłem, że nie będzie mnie przez najbliższy tydzień – w klasie wybuchł radosny wrzask.

Zwolniłem się w piątek rano, tłumacząc się pilnymi sprawami rodzinnymi, i pojechałem do serwisu odebrać popsuty niedawno laptop. Potem przez godzinę pakowałem potrzebne rzeczy. Po prostu tak bardzo zainteresowała mnie sprawa owej tabliczki z Oporowa, a i honorarium obiecane przez De-

miurga znacznie przekraczało wszystkie moje długie i najbliższe wydatki łącznie.

Gdzieś koło jedenastej wyszedłem z domu, aby wsiąść do starego minimorrisa, samochodu, który z moją byłą narzeczoną nazywaliśmy pieśczośliwie Traktorem z powodu uszkodzonego tłumika. Jakoś przez lata nie udało mi się go naprawić. Samochód był wiekowy, gdyż mój ojciec dostał go w prezencie od Uniwersytetu w Cambridge, na którym wykładał jeszcze w latach osiemdziesiątych, jak by nie było, ubiegłego stulecia. To był oryginalny, angielski Mr Mini z kierownicą po prawej stronie. Ojciec nie lubił go (to chyba z powodu tej kierownicy), Marek zaś wolał nowe sportowe samochody. Z kolei moja narzeczona jeździła golfem, oryginalny minimorris stał się więc moim autem. Niszczął pod blokiem, a w drodze do szkoły i ze szkoły warczał coraz głośniej niczym rolniczy ciągnik.

Po wyjściu z domu na ulicę stwierdziłem ze zdumieniem, że ktoś go ukradł. Tak właśnie! Jeszcze nie tak dawno Traktor stał na parkingu za szpalerem krzaków, ale teraz go tam nie było.

Do spotkania w Oporowie zostały dwie godziny, a tu ta sprawa z samochodem, co za pech!

Policja nie miała wiele do powiedzenia.

– Kradzieże to normalka – pocieszał mnie łysiejący sierżant. – Pewnie jakieś zwariowane szczeniaki ukradły dla

zabawy. Ale jeśli to stary samochód, to raczej daleko nim nie zajadą. Niech pan siedzi w domu, a my go znajdziemy.

Nie wiedziałem, co począć. Czy czekać na policyjny raport niczym trusia i zrezygnować z misji w Oporowie? Tego nie mogłem zrobić Demiurgowi. Zresztą tajemnicza tabliczka Oporowskiego bardzo mnie intrygowała, zaliczka zaś zobowiązywała. A samochód albo się znajdzie, albo i nie. Na to nie miałem już wpływu.

„Szkoda Traktora – pomyślałem ze smutkiem. – Dobra maszyna, ale czas pomyśleć o nowym aucie”.

W ten oto sposób zdecydowałem się na wyjazd do zamku.

Jednakże, aby tam się dostać, musiałem poprosić o podwiezienie młodą sąsiadkę, utalentowaną pianistkę Jolę, wynajmującą kawalerkę na moim piętrze. Wprowadziła się do bloku zaraz po tym, jak rozstałem się z narzeczoną. Te melodie, wygrywane na pianinie, zastępowały mi drugą osobę (ściany w naszym bloku są cienkie) i łatwiej mi było znieść samotność. Dziewczyna bowiem całymi dniami bębniła w klawiaturę. Do znużenia. Po prostu ćwiczyła preludia i sonaty na konkurs pianistyczny. Owe koncerty umiłały mi z początku samotne popołudnia, ale z biegiem dni nie pozwalały wieczorami także zasnąć. Ale i tak lubiłem Jolę. I ona, zdaje się, lubiła mnie. Może dlatego, że nie byłem jej nauczycielem od matematyki, a przyznała się kiedyś, że bardzo, ale to bardzo nie lubiła matmy. Zresztą Jola była studentką i jej radosne po-

żegnanie z matematyką odbyło się na maturze pięć lat temu. Pojęcia nie mam, jak ona zdała ten egzamin. Ale trzeba przyznać – pianistką jest dobrą.

– Czy podwiezienie mnie do Oporowa nie zostanie okupione przegraną w konkursie pianistycznym? – zagailem żartobliwie, ale też nieco wymuszenie.

Jola zgodziła się bez wahania.

Była czwarta po południu.

* * *

Czy wiecie, gdzie leży Oporów?

To jedna z wielu polskich wsi leżących w południowym regionie Niziny Mazowieckiej, na spokojnej, płaskiej i urodzajnej równinie w powiecie kutnowskim, stanowiącej symbol naszej ziemi, gdyż to właśnie od pól pochodzi nazwa naszego kraju – Polska. Wieś, zdawałoby się, jedna z wielu, ale odróżnia ją od tysiąca innych pewien szczegół, a mianowicie to, że znajduje się tam wspaniale zachowany zamek rycerski wybudowany przez ród Oporowskich w XV wieku.

Oporów leży w gminie Żychlin. To najzwyczajniejszy na Mazowszu zakątek. Jesienią, kiedy czuć już melancholijną aurę, staje się jeszcze bardziej mazowiecki. Monotonia i smutek nie są tu jednak przygnębiające, raczej niosą ze sobą ukojenie i wewnętrzny spokój. Gdy się jednak podejźdza do pobliskiego Oporowa wąskim asfaltem prowadzącym z Żychlina

od południowego wschodu, wylania się kawałek zadrzewionego obszaru hen na horyzoncie za połaciami zaoranych pól. Zrazu obszar ten wydaje się zwykłym laskiem, jednak w miarę zbliżania się do dawnej rezydencji Oporowskich, Sołohubów czy Orsettich (tyle zdążyłem wyczytać), utwierdzamy się w przekonaniu, że za żółtobrązowymi, teraz falującymi delikatnie na wietrze, koronami drzew znajduje się coś osobliwego. Aż wreszcie konstatujemy, że oto zbliżamy się do niezwykle pięknego i zabytkowego parku, którego masywni i milczący strażnicy sięgają w górę na wysokość czterdziestu metrów. Jeszcze tylko trzeba objechać skraj dziesięciohektarowego parku od zachodu (przy małym stawie znajduje się zamknięta główna brama) i wzdłuż długiego ceglanego obmurowania dotrzeć do bocznej bramy północnej mieszczącej się naprzeciwko innego stawu i biblioteki wiejskiej.

Wąska, czarna droga prowadzi pod samą fosę, która otacza wybudowany na niewielkim wzniesieniu nieduży, ale przepiękny późnogotycki zamek. Pojawia się on z nagłą, wylaniając zza opadających potężnych ramion wielkiego kasztanowca stojącego na końcu alejki, nie wiadomo skąd i jak. To takie uczucie, jakbyśmy w jednej chwili znaleźli się w magicznej, baśniowej krainie, w mgnieniu oka przeniesieni przez dobrą wróżkę z jawy w sen.

Tak oto, oddając się marzeniom, dotarłem spóźniony do Oporowa.

W tej chwili patrzyłem już tylko na zamek pogrążony w ciężkim mroku nadchodzącego wieczoru. Zwięzła majestatyczność murów odbijających się w wodach okalającej je fosy musiała wprawić w zachwyt każdego świeżo przybyłego turystę.

Wysiadłem z malucha, zabrałem swoje rzeczy i pożegnałem zawiedziona Jolę. Poczula, że przygnała mnie tutaj jakaś ekscytująca przygoda, i zaczęła mi jej zazdrościć.

Niestety, musiałem ją namówić do szybkiego powrotu.

– Jolu – chrząknąłem. – Nie możesz zostać. Już późno.

– Nie lubię jeździć po ciemku – broniła się, rozglądając się po parking, a potem patrząc na zamek. – Jaki ładny zamek, prawda?

– Zamek ładny, ale konkurs pianistyczny trzeba wygrać.

Chyba pojęła, w czym rzecz. I już po chwili wykręciła szybko przed wielkim owalnym gazonem naprzeciwko drewnianego mostu i zawróciła, nie pożegnawszy mnie nawet machnięciem ręki. A ja zostałem sam z torbą u nogi przed rzędem innych samochodów.

Wiatr tutaj nie dochodził, tłumił go skutecznie parkowy drzewostan, a więc wszystko było dziwnie nieruchome, jak z obrazka, tak że czułem dosadność każdego szczegółu, chociaż już od kwadransa zapadał wszechogarniający zmierzch.

Z tyłu dobiegł mnie kobiecy głos. Ktoś mnie wołał. Odwróciłem się. Na piaszczystej alejce obok piętrowego domku,

oddalonego od fosy o jakieś pięćdziesiąt metrów, stała i machała do mnie kobieta w średnim wieku. Jej postać i głos bezpowrotnie zniszczyły wpisany w ten krajobraz absolutny spokój. Ale przecież wybrałem się do żywych, a nie do martwych.

– Halo! Proszę pana! Tutaj!

Ruszyłem niezdarnie w jej stronę.

To była, jak się po chwili dowiedziałem, pani Teresa, sprzątaczką, która przygotowywała właśnie pokoje dla gości w dawnym domku dla służby. Wziąwszy pod uwagę moje spóźnienie oraz liczbę samochodów parkujących przed zamkiem – a były tam między innymi imponujące sportowe BMW i okazała alfa romeo – spotkanie detektywów musiało już trwać w najlepsze.

Ciekawiło mnie, który z tych pojazdów należał do drugiego, a raczej pierwszego detektywa przysłanego przez CIOŚ.

– Właśnie trwa zebranie w Sali Jadalnej. Proszę tam pójść, bo mówią o ważnych sprawach. A torbę niech pan zostawi tutaj, w tym pawilonie zwanym Domkiem Neogotyckim.

Pani Teresa wskazała na piętrowy domek, przed którym staliśmy.

– Zamieszka pan na pięterku w jedyńce – poinformowała mnie. – A zresztą niech pan da mi tę torbę, a sam idzie czym prędzej do zamku.

Pobiegłem, jak radziła.

W przytulnym i ciepłym wnętrzu zamku, na jego pierwszym piętrze, prosto z kamiennych schodów wszedłem do pogrążonego w mroku wysokiego przedsionka. Stamtąd mogłem się dostać do ciemnej sali po lewej stronie, zajmującej piętro zamkowej wieży. To musiała być właśnie Sala Jadalna, o której mówiła pani Teresa, gdyż dochodził z niej ściszony kobiecy głos. Cichutko wsunąłem się tam na palcach i zająłem miejsce na pierwszym lepszym krzeselku przy wejściu. Było ciemno. Widziałem jednak niewyraźne sylwetki ludzi, siedzących na stylowych fotelach przy owalnym stole, pogrążonych w absolutnym skupieniu. Wpatrywali się w przenośny ekran umieszczony pod oknem naprzeciwko wejścia, a ktoś obsługiwał stojący bliżej mnie, na krawędzi stołu, rzutnik. Osoba ta prowadziła prelekcję i na moment odwróciła głowę, gdy drewniana, wysłużona podłoga zaskrzypiała pod moimi stopami.

Na ekranie ujrzałem powiększony schemat tabliczki, tej samej, której zdjęcie otrzymałem od Demiurga.

A.D. MDCLVII						
A	4	D	I	G	N	S
F	Z	A	C	R	M	D
D	I	C	A	A	E	K
E	+	R	O	E	S	Y
I	G	V	Z	X	E	L
Q	A	≠	H	K	A	X
S	T	E	U	A	D	A

– Tabliczka pochodzi ze znalezionej w zeszłym roku trumny ze szczątkami Władysława Oporowskiego – opowiadała kobieta obsługująca rzutnik. – Tak sądzą historycy sztuki. Badania tabliczki oporowskiej wykazały, że została wykonana z miedzi w XVII wieku. Zachowała się w dobrym stanie tylko dzięki temu, że przeleżała w glebie średniogliniastej. Oczyszczono ją z prawie dwumilimetrowej warstwy śniedzi i odczytano wszystkie znaki, które zdają się układać w siedem kolumn i siedem wierszy. Nie udało się jak na razie odgadnąć jej treści, ale nie ulega wątpliwości, że to szyfr prowadzący do miejsca ukrycia skarbu.

Na ekranie pojawiła się fotografia pokrytej śniedzią tabliczki, a następnie kolejne ujęcie tej samej tabliczki już po oczyszczeniu chemicznym.

– Niektóre litery i cyfry ledwo dało się odczytać, na obrzeżach występują wżery – kontynuowała kobieta. – Szkielet biskupa również przetrwał dzięki specyficznym właściwościom gleby, tak samo jak drewniane części skrzyni, w której znajdowały się zwłoki. Gdyby zakopano je w glebie piaszczystej, dzisiaj z kości zostałyby jedynie wapienny pył.

– Skąd wiemy, że to kości Oporowskiego? – zapytał ktoś z sali.

– To jedynie moje przypuszczenie. Cofnijmy się może jednak do 1453 roku. Wtedy to zmarł fundator klasztoru oporowskiego. Akt fundacyjny sporządził na cztery dni przed

śmiercią, zmieniając kościół parafialny na konwentualny i zakonny. To ciekawa postać. Urodził się w 1385 roku. Wiedzę prawniczą wyniósł z Akademii Krakowskiej, potem był nawet jej rektorem. Piastował wiele państwowych godności przy królu Władysławie Jagielle. Szczycił się opinią znakomitego prawnika i polityka, a także duchownego, gdyż na początku kariery był proboszczem łączyckim, a później został prymasem! W diecezji gnieźnieńskiej nie należał jednak do popularnych postaci i uchodził za przeciwnika kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Najchętniej przebywał u boku króla i rzadko odwiedzał Gniezno. Ciekawostką jest to, że po śmierci prymasa jego ciało chciano sprowadzić do katedry. Na wydanie zwłok nie zgodziła się jednak rodzina, bo taka była ponoć wola zmarłego. Aż do czasu najazdu szwedzkiego doczesne szczątki fundatora zamku i kościoła spoczywały w spokoju, strzeżone przez miejscowych paulinów. Podobno nieźle zachowane, ale to tak na marginesie. Na wiadomość o zbliżaniu się Szwedów do Oporowa w 1657 roku przeor konwentu, ojciec Gabriel, w obawie przed grabieżą postanowił przenieść w bezpieczne miejsce trumnę arcybiskupa oraz skarbiec klasztorny zawierający wiele kosztowności. W największej tajemnicy, pod osłoną nocy, zrealizował swój zamysł. Co było dalej? Szwedzi po zajęciu Oporowa splądrowali klasztor, ale skarbów nie udało się im znaleźć. Oczywiście, poddany torturom przeor Gabriel nie zdradził

miejsca ukrycia skarbów oraz trumny. I tak oto niewyjawiony nikomu sekret zabrał do grobu, gdyż zmarł w zadanych mu męczarniach. Szwedzi, opuszczając Oporów, podpalili zamek i kościół, a także miasteczko. Ocalał tylko klasztor, w którym sługa kościelny zdołał w porę ugasić ogień. Mimo trwających później poszukiwań nie odnaleziono trumny arcybiskupa i skarbcza paulinów. I oto w zeszłym roku kilka kilometrów na południe od Oporowa, w okolicach wsi Drzewoszki, odkryto trumnę ze szkieletem Oporowskiego i tę oto tabliczkę. Przypuszcza się, że przeor Gabriel ukrył tam trumnę wraz z tabliczką. Mam nadzieję, że uda się Państwu złamać ten szyfr i odnaleźć skarb. Dlatego zostaliście tutaj zaproszeni, a miejscowy sponsor wyznaczył atrakcyjną nagrodę dla zwycięzcy. W przyszłym tygodniu, dokładnie w czwartek o północy, pojedynek zostanie zakończony. Tyle na dziś.

Nastała cisza, do chwili gdy kobieta zwróciła się do mnie z prośbą.

– Będzie pan łaskaw zapalić światło? Nad pańską głową jest przełącznik.

Zrobiłem to.

Nagle żółte światło brutalnie rozproszyło mrok i ku mojemu zażenowaniu ujrzałem siedem par oczu wpatrzonych we mnie badawczo, jak mi się zdawało, niekryjących lekkiego zaciekawienia, ale też i niechęci. Pewnie każdemu jest znane

to poczucie wyobcowania, gdy nagle pojawi się w trakcie jakiegoś zebrania czy spotkania. Wtedy wszyscy traktują człowieka jak intruza, który swym nagłym wtargnięciem śmiało zniszczył swojski nastrój. Dopiero potem, gdy pierwsze lody zostają przełamane i nawiązuje się kontakt, owo nieprzyjemne wrażenie przechodzi. Stojąca do tej pory przy rzutniku atrakcyjna kobieta w żakiecie podeszła do mnie. Miała trzydzieści kilka lat, jasne włosy związane z tyłu w koński ogon i bardzo łagodne spojrzenie. Wydawała się osobą inteligentną i niezwykle bystrą. A takie kobiety zawsze bardzo mi się podobały.

– Ewa Strasny – przedstawiła się blondynka. – Kustosz muzeum. Jestem sekretarzem pojedynku zorganizowanego przez znanego w powiecie producenta soków owocowych.

– Przepraszam za spóźnienie – denerwowałem się jak sztubak. – Niestety, zdarzył się niemiły epizod, ukradziono samochód...

Jakaś młoda dziewczyna o ciemnych włosach, widząc mnie tak potwornie zdenerwowanego, zaśmiała się szyderczo pod nosem, co natychmiast mnie zdeprymowało. Ale i od razu uprzedziło do niej. Z miejsca jej nie polubiłem, ba, nawet ją znienawidziłem. Jak na złość zdenerwowanie nie chciało mnie opuścić. Czułem się jak maturzysta spóźniony na egzamin, jak obiekt badań wytrawnych badaczy. Moi uczniowie dodaliby z satysfakcją: „dobrze ci tak!”.

W tym gronie nie miałem co liczyć na pobłażanie i grzeczność. Mogłem spodziewać się twardej konkurencji, przecież każdy z tych detektywów chciał zgarnąć dwadzieścia tysięcy euro dla siebie i każdy sposób na zdeprymowanie rywala był dobry.

– Na szczęście dotarł pan do nas, panie... – przerwała mi kobieta w żakiecie. – A właśnie, jaki jest pański pseudonim?

– Liberales! – palnąłem bez zastanowienia.

I ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że już nie tylko dziewczyna obok rzutnika, ale i pozostali uczestnicy wydali z siebie lekceważące prychnięcie.

– Pan wybaczy konspirację, ale każdy z detektywów wybrał sobie ulubiony pseudonim znanego detektywa. Liberales? – zdziwiła się Ewa Strasny. – Nie znam. Ale może być i Liberales.

– Czy pan jest może specjalistą z branży odzyskiwania skradzionych samochodów? – zapytał nieoczekiwanie siedzący po drugiej stronie stołu starszy człowiek z kręconymi, nieco przyprószonymi siwizną włosami.

– Źle, Poruczniku Columbo – zwróciła się do niego owa młoda kobieta, której nie polubiłem. – Koledze Liberalesowi – tu wskazała na mnie – ukradziono samochód, więc nie może być kimś, kto odzyskuje samochody, bo sam nie jest w stanie upilnować własnego.

– Skąd, droga Laro Croft, wiesz, że naszemu Liberalesowi ukradli samochód? – zdziwiła się jakaś emerytka siedząca za dziewczyną. – Pan Liberales wspominał tylko, że ukradziono samochód. Nie mówił komu.

– To widać po naszym nowym gościu, Miss Marple – odparowała zgryźliwie dziewczyna, ale zaraz pojęła, że się zagalopowała. – Przepraszam, chciałam powiedzieć, że kolega Liberales...

– Artur – dodałem.

– ...wygląda na zdenerwowanego, a z kieszeni wystaje mu świstek papieru. Mam dobry wzrok i widzę, że jest to kopia policyjnego zgłoszenia kradzieży samochodu.

Nie powiem. Lara Croft była bystra jak mało kto.

Dopiero teraz dotarło do mnie, że wszyscy zgromadzeni tutaj osobnicy naprawdę identyfikowali się ze swoimi pseudonimami.

I tak siedząca obok rzutnika brunetka pozowała na Larę Croft – poszukiwaczkę skarbów z przeniesionej na duży ekran gry komputerowej. Miała wprawdzie długi ciemny warkocz wystający jej spod niebieskostalowej czapeczki z daszkiem, ale ubrana była w czarny golf i luźne, przypominające dres spodnie. Była wysportowana, sprzęzysta, a z błękitnych oczu wyzywająco biła zdrowa energia. Sama twarz była jednak inna od tej zdobiącej plakaty z ekscentryczną Larą. Niewiasta ta miała nieco ostrzejsze od pierwowzoru rysy twarzy

z mocno wyeksponowanymi kośćmi policzkowymi i wydatnym nosem. Skoro jednak chciała być Larą Croft, jej sprawa!

Mężczyzna po pięćdziesiątce siedzący naprzeciwko niej przypominał trochę Porucznika Columbo ze znanego serialu kryminalnego. Nie było to może uderzające podobieństwo, niemniej jednak jakiś rys pokrewieństwa z oryginałem występował. Przede wszystkim był on niskim, drobnym osobnikiem z kręconymi ciemnymi włosami, miejscami przyprószonymi siwizną. I zdaje się, że wzorem Porucznika Columbo ów jegomość palił cygara, gdyż końcówka jednego z nich wystawała mu z kieszonki przy klapie jasnej, nieco pogniecionej marynarki. Już widziałem oczami wyobraźni, jak przed przyjazdem tutaj ów mężczyzna wyjął z szafy odprasowany garnitur i jął go ciskać po kątach, chodzić po nim, aby w ten sposób bardziej upodobnić się do porucznika Columbo, który przecież chodził w wymiętych rzeczach.

Dalej, za Larą Croft, siedziała owa emerytka. To była nasza Miss Marple – wzorująca się na bohaterce powieści sławnej autorki kryminałów Agaty Christie. Podobieństwo do niej polegało na emerytalnym wieku i noszeniu się w sposób niezwykle staroświecki. Nasza Miss Marple miała na sobie szarą sukienkę przypominającą futerał, siwe włosy zaś upięła z tyłu głowy w duży kok.

Przy stole zauważyłem również bladego i arcyповаżnego młodziana o pseudonimie Harry Potter, ale nie przypominał

wcale znanego z okładek ilustrowanych magazynów bohatera popularnej współczesnej powieści dla dzieci i kasowych filmów, owego słynnego chłopca-magika. Stanowił nawet jego przeciwieństwo, no ale przecież uczestniczyliśmy w pojedynku detektywów, a nie w zjeździe sobowtórów.

Kolejnym detektywem okazał się Hanussen, mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni o opalanej oliwkowej cerze i gładko zaczesanych do tyłu kruczoczarnych i błyszczących włosach. Człowiek ten posiadał wrodzoną dystynkcję, chociaż błysk w oku zdradzał osobowość nieco wybujałą. Zresztą ten ekscentryczny pseudonim – Hanussen! Toż to kolejna postać z filmu, a mianowicie obdarzony charyzmą i hipnotyczną siłą oddziaływania na masy austriacki oficer przejawiający niespotykane uzdolnienia parapsychiczne. Jasnowidz wśród nas. Nie mogłem jednak zapominać, iż filmowy Hanussen był niezłym kanciarzem i oszustem.

I wreszcie, o zgrozo, na samym końcu siedział mężczyzna, którego w pierwszej chwili nie rozpoznałem, tutaj występujący pod pseudonimem Jamesa Bonda, głośnego bohatera książek szpiegowskich autorstwa Iana Fleminga, owego słynnego 007. Przygody tego asa brytyjskiego wywiadu doczekały się także wielu wspañałych ekranizacji filmowych. Dwudziestodwujęcioletni mężczyzna na końcu stołu był przystojnym brunetem, niemal tak samo eleganckim jak filmowy pierwowzór, i zwracał uwagę już nie tylko kobiet, ale nawet i mężczyzn.

Byłem mocno zaskoczony i zarazem zaintrygowany jego obecnością w tym miejscu.

Co robił tutaj mój brat – gdyż to on był owym Jamesem Bondem – nie wiedziałem. Jedno było pewne – nie traktował tego pojedynku wyłącznie jako zabawy intelektualnej.

2

Marek zauważył moje zatroskanie i posłał mi blady uśmiech. Był przy tym opanowany i zimny. Moja obecność nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, a ja nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnął się do mnie ponownie, tym razem nieco tajemniczo, i popatrzył mi głęboko w oczy zza długiego stołu. Jednakże to nie był uśmiech Jamesa Bonda. To był uśmiech Marka Burskiego – zapowiedź bezwzględnej walki.

„Co on tutaj robi? – myślałem gorączkowo. – Czy nasze spotkanie może być przypadkowe? Och, panie Demiurg, zakpiłeś sobie ze mnie. Tobie wciąż chodzi o jedno: o zdobycie dowodów przeciwko Markowi Burskiemu”.

– Kim jest Artur Liberales? – zapytał nieoczekiwanie Harry Potter, czym wyrwał mnie z zamyślenia.

I wtedy przyszedł mu z wyjaśnieniem nie kto inny tylko właśnie James Bond. Wstał, włożył rękę do kieszeni i jak do-

brze wychowany dżentelmen zaczął mówić subtelnym, opanowanym głosem, robiąc krok po cicho trzeszczącej podłodze.

– Nasz Liberales to nauczyciel matematyki. Amator. Taki, który lubi rozwiązywać w niedzielne popołudnia szarady i krzyżówki. Jest jednak typem dociekliwym i upartym – perorował jak jakiś mentor.

Wiedziałem jednak, że to poza. Brat czasami naśladował naszego ojca, wykładowcę, i w ten sposób dodawał sobie powagi. Było to trochę nienaturalne jak na niespełna trzydziestoletniego osobnika, niemniej jednak ludzie go słuchali, on zaś uwielbiał błyszczeć w świetle reflektorów.

– Ale Liberales jest jednocześnie romantykiem – kontynuował. – W matematyce widzi nie tylko suche liczby i równania, ale twierdzi, że matematyka ma duszę. Niezbyt to racjonalne. I w dodatku śmieszne. Ale czyż świat nie jest pełen dziwaków? Żeby było jeszcze zabawniej, według niego poezja i muzyka zawierają więcej matematyki niż rachunek za gaz i konto bankowe razem wzięte. Co dalej? Nasz Liberales to wyjątkowy przeciętniak. Niektórzy uważają, a do tych należy chociażby jego brat, że jest nawet abnegatem. Chodzi przez cały czas w dżinsowej kurteczce i dżinsowych spodniach. Niczym szczególnym się nie wyróżnia. No może tylko tym, że jeździ Traktorem.

– Czy pan to może odgadł intuicyjnie? – zapytał z zainteresowaniem nasz jasnowidz.